

WSZYSTKO ZACZĘŁO SIĘ GDY MIAŁEM PIĘĆ LAT*

Mały chłopiec w przeklętym kręgu przemocy

Gdy sięgam pamięcią najgłębiej jak tylko mogę w lata dziecięce, widzę długą salę szpitalną i moją matkę, jak krzyczy na pilnującą nas zakonnice. Jako mały chłopiec byłem hospitalizowany z powodu krzywicy, trzeba mi było wyprostować nogi.

Tamtego dnia powiedziałem mamie, że siostry zabrały mi paczkę, którą mi przyniosła poprzedniej niedzieli. Mama, której na pewno z trudem przyszło zgromadzić dla mnie tę niewielką ilość przysmaków, wpadła w furję i nie zastanawiając się wiele, wyrwała mnie z rąk zakonnicy i zabrała do domu.

I tak już zostałem z krzywymi nogami. Przez całe dzieciństwo musiałem znosić głupie docinki i drwiny wywołane mo-

* Tekst pochodzi z książki: Le Père Joseph, *Les pauvres sont L'Eglise*. Entretiens entre Le Père Joseph Wresinski et Gilles Anouil, Le Centurion, Paris 1983.

ją ułomnością, a później, już jako nastolatek, wstydziłem się z tego powodu, że lekko utykam.

Nie zdziwiło mnie wtedy, że moja matka krzyczy na zakonnicę. Byłem przyzwyczajony do krzyków. W domu ojciec wciąż krzychał. Bił mojego starszego brata, ku rozpaczyci matki, bo zawsze uderzał go po głowie. Wymyślał też na mamę. Żyliśmy więc w nieustannym strachu.

Dopiero znacznie później, już jako mężczyzna dzielący życie z innymi ludźmi, takimi jak mój ojciec, i z innymi rodzinami, takimi jak nasza, zrozumiałem, że mój ojciec był człowiekiem upokorzonym. Cierpiał z powodu swego zmarnowanego życia. Wstydził się, że nie może zapewnić rodzinie bezpieczeństwa i szczęścia.

Tak właśnie przejawia się zło spowodowane biedą. Człowiek do tego stopnia upokorzony nie może żyć, nie reagując. Człowiek biedny, czy dawniej, czy dziś, reaguje w taki sam gwałtowny sposób.

Dla chłopczyka, którym wówczas byłem, oznaczało to wprowadzenie w przeklęty krąg przemocy. Była ona sposobem reagowania na przeszkodę, na wszelkiego rodzaju codzienne trudności. I podświadomie stawała się dla mnie, tak samo jak dla mojego ojca, sposobem na wyrównanie niezliczonych upokorzeń, jakie musieliśmy znosić z powodu naszej wielkiej nędzy.

Mimo upływu lat, zawsze mnie zadziwia to, że rodzice rozmawiali ze sobą wyłącznie o pieniądzach. Nie mieli ich przecież wcale, a kłócili się o nie bez końca. Kiedy zaś w domu pojawiło się ich choć trochę, kłócili się o to, w jaki sposób je wydać. Później, gdy mama została sama, zawsze mówiła nam o pieniądzach. A kiedy była mowa o ludziach, z którymi mogliśmy mieć do czynienia, zawsze podkreślała, że są to osoby bogate. O księżach z parafii zawsze powtarzała: „Oni są bogaci”. Według niej nawet skromna sklepikarka w



Rodzina Wrzesińskich ok. 1928 r. Józef pierwszy z lewej.

naszej dzielnicy była bogaczką. Jednak mama nie była bynajmniej zazdrosna. Dla ludzi głodnych i będących w potrzebie liczy się tylko to, co może zaspokoić ich niedostatek. Zawsze tak jest, a w ponurych dzielnicach na obrzeżach naszych miast codzienne rozmowy, wymiana zdań, prowadzą się zawsze do tematu pieniędzy.

Już od najmłodszych lat byłem włączony w starania o zdobycie pożywienia. Kiedy miałem cztery lata, chodziłem paść kozę na okolicznych łąkach; ta koza żywiła nas, moją dopiero co narodzoną siostrzyczkę i resztę dzieci. Prowadząc kozę na łąki, przechodziłem obok ogromnej bramy klasztoru Do-



Pamiątkowe zdjęcie od Pierwszej Komunii, 1927.

brego Pasterza, a wtedy jedna z zakonnicy zagadywała do mnie czasem. Pewnego dnia zapytała, czy nie chciałbym codziennie rano służyć do mszy. I tego właśnie dnia zostałem po raz pierwszy w życiu zaangażowany do pracy. Bo dla mnie nie było to nic innego, jak najem. Za słuźenie do mszy miałem dostawać każdego ranka duży kubek kawy z mlekiem, chleb, konfiturę, a w dni świąteczne nawet masło. Ponadto siostry

Wszystko się zaczęło, gdy miałem pięć lat

43

obiecowały dawać mi dwa franki tygodniowo. I to te dwa franki przesądziły, że się zdecydowałem.

Tak oto, nie mając jeszcze pięciu lat, zostałem włączony w trud utrzymania rodziny. Każdego ranka, przez prawie jedenaście lat, mama wyprawiała mnie na mszę o siódmej. Potrzebowałem co najmniej dziesięciu minut, żeby dobiec do kaplicy znajdującej się za wysokimi murami klasztoru. W zimie po drodze marzłem i bałem się ciemności. Bez względu na to, czy wiał wiatr, czy padał deszcz, skulony, strasznie zaspany, czasem krzycząc ze złości, biegłem długą ulicą św. Jakuba, schodziłem pustą, nieprzyjazną ulicą Brault, prowadzącą w stronę łąk i stawiałem się do służby u sióstr jako ministrant, po to żeby mama mogła dostać czterdzieści sous. Nie pamiętam, bym któregośkolwiek dnia opuścił ten mój poranny obowiązek i jeszcze dziś wydaje mi się, że całe moje dzieciństwo kształtowało się wokół niego.

Widocznie mamę bardzo gnębiło to nasze przymieranie głodem, skoro zgadzała się codziennie rano wypędzać mnie, małego chłopca, na ulicę. Zapewne zdawałem sobie sprawę z błędnego koła, w którym tkwiła mama, i dlatego wziąłem na siebie ten obowiązek, bez zadry w sercu czy ubliżania Bogu.

Wkrótce zresztą byłem zmuszony powtarzać tę samą drogę, tam i z powrotem, także w południe. Ponieważ byliśmy najbiedniejsi ze wszystkich mieszkańców naszej dzielnicy, nic dziwnego, że zaraz po szkole pędziłem znowu do klasztoru, tym razem po to, żeby przydźwigać do domu, w blaszankach albo puszkach po konserwach, posiłek składający się z tego, co jadły zakonnice. Siostry magdalenki dawały mi suchy, łuskany groch, soczewicę, ziemniaki, czasem kilka kawałków mięsa, no i bochenek chleba, podstawę naszych rodzinnych posiłków.

W ten oto sposób wszystkie dni mojego dzieciństwa były ściśle dostosowane do rytmu życia zakonnicy ze zgromadzenia Dobrego Pasterza, do ich modlitw i posiłków, bo tylko

dzięki temu głód w naszej rodzinie mógł być jako tako zaspokojony.

Myślę o tym czasem, kiedy obserwuję dzisiaj dzieciaki wdrapujące się na furgonetkę, albo podążające za wózkiem swego ojca, kiedy ten udaje się na poszukiwanie zbędnych rzeczy po piwnicach i strychach. Te dzieci zostają śmieciarzami albo zbieraczami złomu; ja służyłem do mszy, albo w bramie klasztornej czekałem na jedzenie. Dziś, tak samo jak dawniej, dziecko biedaków nie ma dzieciństwa, bo ledwie zaczyna chodzić, a już musi być odpowiedzialne za to czy tamto.

A jednak zdarzało mi się, tak jak i dzieciom żyjącym dzisiaj w biedzie, bawić się i śmiać. Wynajdywałem sobie do zabawy różne zakamarki i kryjówki, albo odkrywałem najdziwniejsze kręte przesmyki w starej dzielnicy Angers i tam razem z kumplami bawiliśmy się w labirynt. Cały czas istniała jednak droga do klasztoru, którą musiałem przebywać codziennie, tam i z powrotem, „droga poniżenia”, która wymazała ze wspomnień mego dzieciństwa to, co mogło w nich być jako tako pocieszające.

Były zresztą i inne „drogi wstydu”, związane z dokuczliwym brakiem żywności. Widzę siebie, małego chłopca, zanoszącego do sklepu spożywczego butelkę po oliwie, żeby ją napełniono za pięćdziesiąt centymów. Jeśli nie była pełna aż do samiuteńkiego korka, mama odsyłała mnie z powrotem, żeby dolano tych kilka brakujących kropel. Takie to były nieustanne upokarzające zmagania ludzi biednych, chcących nasycić swój głód.

Kiedy indziej musiałem odnosić do sklepu mięsnego zbyt twarde kawałki koniny. Mając siedem lat, otrzymałem bowiem nowe zatrudnienie. Marie-Louise, właścicielka sklepu, zleciła mi robienie dla niej zakupów i prawie codziennie dawała mi w zamian za to kawałki koniny, warte dwa franki. Mama jednak domagała się, by mięso było świeże i kruche. W razie

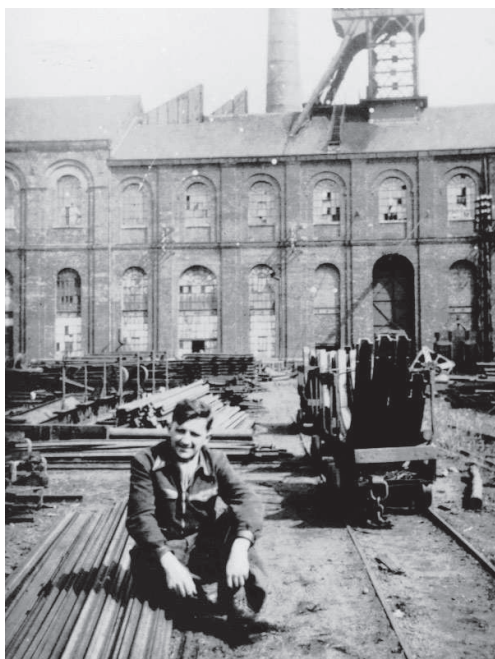
Wszystko się zaczęło, gdy miałem pięć lat

45

czego nie wahała się odesłać mnie z powrotem, z niedobrymi kawałkami na dowód, żebym na ich podstawie zażądał lepszego gatunku na rodzinny stół.

Rekompensatą za odczuwany wstyd była dla mnie jako chłopca siła fizyczna, ciosami pięści nieświadomie wynagradzałem sobie zbyt ciężki obowiązek żywienia rodziny. Pamiętam, że mając sześć lat rozłożyłem przeciwnika na łopatki pod żywoplotem, okładając go pięściami.

Kiedy moja matka wybrała się do zakonnicy w przedszkolu dowiedzieć się, czy przyjmą mnie do szkoły podstawowej, usłyszała od siostry w odpowiedzi: „Oczywiście, niech go pani tam pośle, on tutaj bije wszystkie dzieci”.



*Kleryk Józef Wrzeński na dziedzińcu kopalni w Sesseval,
Francja, ok. 1944.*

Tak więc w moim życiu od wczesnego dzieciństwa nakładały się: brak pieniędzy, upokorzenie i agresja.

Nie przypominam sobie, bym wróciwszy ze szkoły zastał kiedyś w domu mamę radosną. Była kobietą opuszczoną i nie był dla niej pocieszeniem fakt, że sama dzielnie dźwiga ciężar utrzymania czwórki dzieci. Czekala wciąż na jakąś wiadomość od ojca, a zwłaszcza na pieniądze, które miał jej przysyłać, a które nie przychodziły. Tymczasem trzeba było zapłacić za gaz, za węgiel na zimę, wymienić piecyk...

Prawie zawsze było u nas zimno. W starej kuźni, gdzie mieszkaliśmy, nieustannie hulały przeciągi. Wiatr wciskał się szparą pod drzwiami wejściowymi, przenikał przez przepierzenia. Jedno z nich było zrobione ze skrzynek pokrytych papierem do pakowania. Papier się darł i wtedy przeciąg dmuchał w nas.

Było zimno także dlatego, że wszystkie pokoje znajdujące się nad naszym mieszkaniem były podłączone pod ten sam przewód kominowy. Przewód często się zatykał i gdy my na dole rozpalaliśmy pod kuchnią, Teresa, córka krawca, mieszkająca na górze, schodziła naurągać mamie, że dym przedostaje się do niej. Wtedy mama, żeby uniknąć awantury, wyjmowała z paleniska kawałki węgla uzbierane przez nas na hałdzie koło gazowni. Te grudki, które wynajdywaliśmy z niemałym trudem, były tak marnego gatunku, że raczej wzmały, niż zwalczały, ziąb panujący w domu.

Jak można by wytłumaczyć bierność mojej matki, którą i dziś zauważam u tylu innych matek, wszędzie gdzie panuje nędza? Lęk mojej matki, by nie zdrzeć z sąsiadami, brał się zapewne z przemęczenia, ale jeszcze bardziej ze strachu. Mama czuła się cudzoziemką i nigdy nie przestała się obawiać, że mogłaby zostać deportowana do ojczystej Hiszpanii, że policja mogłaby nas zaarrestować z Bóg wie jakiego powodu. Podobnie matki z ośrodków dla bezdomnych zawsze żyją w

Wszystko się zaczęło, gdy miałem pięć lat

47

strachu, że zaraz zjawi się ktoś, żeby im wyrządzić krzywdę.

Co do Teresy, córki krawca, która przychodziła rugać mamę, zdarzyło się, gdy byłem jeszcze bardzo mały, że pewnego dnia złapałem pogrzebacz i z krzykiem zacząłem nim wymachiwać przed Teresą. Nie wiem, co do niej wrzeszczałem, uniesiony dziecięcą wściekłością, ale faktem jest, że od tej pory nasz biedny ogień mógł się spokojnie tlić w starej kuchni z dziurawym paleniskiem, którego szpary zatykaliśmy wciąż na nowo gliną wykopaną na pobliskich łąkach.

Mama często skarżyła się innym ludziom na wszystko, co ją gnębiło, na mnie, na kłopoty, które jej sprawiałem, na moje opóźnienie w nauce, zachowanie w szkole, na to, że moczę się w łóżku. I to był jeszcze dodatkowy ciężar wstydu nałożony na moje ramiona, bo cała dzielnica o tym wszystkim się dowiadywała. Biedni nie chowają przed innymi swoich ran. Nie mają dość siły, by ukrywać trudności egzystencji, która ich wyczerpuje.

A jednak to dzięki matce miałem szansę uzyskać świadectwo ukończenia szkoły. W szkole publicznej niewiele było uczniów niepłacących za naukę, a my w dodatku byliśmy najgorszymi uczniami w klasie. Tak więc, gdy doszło do końcowych egzaminów, dyrektor nie chciał mnie do nich w ogóle dopuścić, przekonany, że z pewnością sobie nie poradzę. Wcześniej nie zakwalifikował też mojego starszego brata, ale wtedy matka z tego powodu się nie oburzyła. Gdy jednak przyszła moja kolej, nie zrezygnowała tak łatwo. Wiedziała, że nie jestem głupi, tylko mam za dużo różnych odpowiedzialnych obowiązków na karku, a także za dużo cierpień, i że zbyt głęboko odczuwam krzywdę doznawaną przez naszą rodzinę. Otrzymywaliśmy pomoc charytatywną, ale nigdy nie to, co nam się należało, i poczucie krzywdy było naszym codziennym losem. Mama nie chciała, żeby mi przybył jeszcze jeden powód. I to ona spowodowała, że w końcu dopuszczono-

no mnie do końcowego egzaminu i w ten sposób otrzymałem świadectwo ukończenia szkoły.

Dopiero dziś zdaję sobie sprawę, ile nagromadzonego oburzenia, ile odwagi potrzebowała moja matka, by tak bardzo bronić swoich dzieci. Broniła mnie też z uporem, przyparta do muru, kiedy panie z opieki parafialnej wpadły na pomysł, żeby mnie umieścić w Domu Sierot w Auteuil. Projekt był na pozór rozsądny, ale jakże upokarzający dla dziecka urodzonego w biedzie i dla matki, zmuszonej oddać syna na wychowanie z dala od reszty rodzeństwa.

Pod wpływem dobrze mi znanego gwałtownego odruchu poniżonej godności, mama odmówiła. Woląла narazić się na utratę życzliwości aktywistek parafialnych.

I tak zresztą byliśmy na marginesie. Żyjący w skrajnej nędzy, byliśmy wśród proletariatu dzielnicy traktowani w specjalny sposób. Z innymi ludźmi byliśmy powiązani przez jałmużnę, nie przez przyjaźń.

Nie my jedni. Pamiętam pewną matkę pijaczkę i jej nieślubnego syna. Gdy wieczorem wracał do domu, znajdował matkę leżącą na podłodze w kuchni, zaciągał ją do łóżka i układał do snu. Czasem przychodził do nas i mama zapraszała go wtedy do stołu, częstując naszym chlebem i zupą.

Była też wróżbiarka. Nie życzyła sobie, by psy przystawały pod jej oknem. My, dzieci, też traktowaliśmy jej ścianę jak pisuar, więc wymyślała nam. Lubiliśmy ją i dlatego jej dokuczaliśmy. Nie dokuczaliśmy natomiast ani rzeźnikowi Recifowi, ani stolarzowi Cesbornowi. Oni byli „wielcy” w dzielnicy, nie należeli do naszego świata.

Pewnego dnia znaleziono wróżbiarkę w jej norze martwą, umarła z głodu. Przez dwa tygodnie nikt się o nią nie zatroszczył. Tego wieczoru mama płakała, bo to samo mogło się zdarzyć i nam. „Kto by się nami zainteresował – mówiła – ja też tak umrę”.



Ojciec Józef Wrzesiński w obozie dla bezdomnych rodzin w Noisy-le-Grand, 1957

Czyż nie od niej właśnie nauczyłem się walczyć, nie tylko po to, by wziąć odwet za upokorzenie, ale w imię wyzwolenia wszystkich ludzi wykluczonych?

Pewnego dnia jeden z najwyższych chłopaków w szkole – nazywał się Siche – okropnie się rozzłościł na słabszego od siebie, młodszego kolegę. Przygniótł go pod drzwiami do ubikacji, tłukł pięściami i kopał. Co mnie wtedy napadło? Rzuciłem się z furją na tego dużego i zacząłem go okładać pięściami, kopać i drapać po twarzy, dopóki nie zjawił się nauczyciel i siłą mnie od niego nie odciągnął.

Dlaczego tak postąpiłem? Ten cherlawy malec nie był dla mnie kimś ważnym. A jednak to właśnie on utkwiał mi w pamięci, a nie kara, która mnie wtedy spotkała. Zostałem wyrzucony ze szkoły. Ale mało pamiętam ze wszystkiego, co potem nastąpiło. Z całego zamieszania, które się zrobiło, najlepiej zapamiętałem, jakby to był punkt zwrotny, właśnie

tego małego chłopca, który pozwalał się bić znacznie silniejszemu od siebie dryblasowi. Wydaje mi się, że to był właśnie początek walki, w której będę może przegrywającym, lecz którą będę prowadził z uporem przez całe życie.

Nie było wcale takie proste, stać się bojownikiem występującym w obronie ludzi wykluczonych, bo działałem już teraz nie dla poszczególnych osób: matki pijaczki, wróżbiarki, cherlawego, zahukanego chłopca – raz tu, raz tam. Musiałem ich rozpoznać w całej masie ludzkiej, poczuć się częścią tej masy; będąc już dorosły, odnaleźć siebie w tych malcach z baraków, czy raczej śmietnisk otaczających nasze miasta, w tych młodych bezrobotnych, którzy płaczą z wściekłości. Oni przedłużają w nieskończoność nędzę mojego dzieciństwa, świadczą, że sytuacja ludzi w łachmanach trwa wiecznie.

Jest jednak w naszej mocy wygrać z takim beznadziejnym stanem rzeczy. Nędza przestanie istnieć już jutro, jeżeli pomożemy tym młodym ludziom wziąć sobie do serca los ich społeczności nędzarzy, przekształcić agresję w świadome działanie, uzbroić się w miłość, nadzieję i wiedzę, po to by walkę z ignorancją, głodem, jałmużną i wykluczeniem doprowadzić do końca.

Nie jest to jedynie sprawa rządów, ale także zadanie ludzi, zgadzających się iść razem z wykluczonymi, związać swe życie z ich życiem, czasem wszystko opuścić, by dzielić ich los.

Mieliśmy do zaoferowania tylko samych siebie

Nie jesteśmy twórcami, lecz tylko spadkobiercami. To inni zainicjowali – w Kościele współczesnym, we Francji i na świecie – działalność, której celem jest dostrzec biednych, społeczność wykluczonych. Ludzie tacy jak ks. Godin,

Wszystko się zaczęło, gdy miałem pięć lat

51

o. Depierre, Abbé Pierre, otworzyli niejedne drzwi, dotarli do świata nędzy. Jesteśmy w istocie ruchem duchowym, mądrości serca bardziej niż myśli: ruchem, który dostrzegł biednych, ludzi w nędzy. Walczymy o pokój, o chleb, o sprawiedliwość: te zmagania i działania spotykają się w którymś miejscu we wspólnej trosce o człowieka najbardziej pogardzanego. Nie jesteśmy twórcami, choć nędza skłania nas do tego – być może jesteśmy nowatorami.

Na czym polega nasza oryginalność? Gdy zaczął się Ruch ATD Czwarty Świat, społeczeństwa były pewne siebie, wszyscy myśleli, że postępowanie w dziedzinie pomocy społecznej zlikwiduje nędzę automatycznie i nieodwracalnie, wszyscy byli pewni zwycięstwa. Czy w takiej sytuacji było możliwe, by na wszystkich szczeblach uwierzono w to, co mówiliśmy o nędzy? Tu tkwiła główna trudność, na jaką natrafiliśmy. W tej sytuacji Abbé Pierre ujawnił, jaki naprawdę jest los najbardziej cierpiących, a Ruch ATD Czwarty Świat skupił uwagę na rzeczywistej sytuacji rodzin. W tym czasie była to postawa odważna, bo społeczeństwo zaczynało właśnie tracić zainteresowanie rodziną: zresztą organizacje społeczne i publiczne służby społeczne nigdy do końca nie zrozumiały, dlaczego poświęcamy szczególną uwagę rodzinie. Dlaczego tak bardzo nam na niej zależy? Dla człowieka, któremu wszystkiego brak, rodzina jest jedynym schronieniem: tylko tam jest jeszcze ktoś, kto go przyjmie, tylko tam on sam jest jeszcze kimś. W rodzinie znajduje swą tożsamość. Jego bliscy, dzieci, żona, towarzyska życia... są jego ostatnim obszarem wolności. Nawet jeżeli dzieci zostaną odebrane mężczyźnie i kobiecie, ci zawsze czują się związani z istotami, które zrodzili. Ponieważ podkreślaliśmy znaczenie rodziny, zawsze uważano nas za należących do przeszłości, a my, choć bardzo cierpieliśmy z tego powodu, byliśmy niezachwiani.

Od początku istnienia naszego Ruchu decydujące było to,



*Ojciec Józef Wrzesiński z ojcem bezdomnej rodziny,
podczas odwiedzin w Noisy-le-Grand, 1971.*

że nie mieliśmy nic innego do zaoferowania, jak tylko samych siebie. Niczego nie posiadaliśmy, nie byliśmy organizacją użytku publicznego, ani pracownikami społecznymi zależnymi od jakiegoś urzędu. Mogliśmy służyć tylko naszymi osobami i sercem bijącym w nas. Nasz krańcowy niedostatek, całkowity brak pieniędzy sprawił, że zaakceptowały nas rodziny najbardziej upośledzone życiowo. Nie mieliśmy żadnej władzy, ani politycznej czy społecznej, ani też wsparcia lub rekomendacji ze strony jakiegoś wyznania. Przychodziliśmy z gołymi rękami, boso, do samego jądra nędzy. Mogliśmy ofiarować tylko to, czym byliśmy: kobietami i mężczyznami gotowymi poświęcić swoje życie, by walczyć razem z tymi, którzy zostali odrzuceni, którzy tkwią w nędzy. Jedynym naszym celem był człowiek, i działanie na jego rzecz. Od początku chcieliśmy, by rodziny żyjące w skrajnej biedzie stały się obrońcami swych braci w niedoli. Zaczy-

Wszystko się zaczęło, gdy miałem pięć lat

53

naliliśmy od zera, bez wyrobionych stosunków czy dojść, ograniczeni przez sytuacje, gdy rodzinom brakowało dosłownie wszystkiego. Wiele z nich znało jedynie ubóstwo, brak wykształcenia, bezdomność, choroby, bezrobocie, a więc w każdym wypadku odrzucenie i wykluczenie. Chcieliśmy, by ich aktywna postawa w tej walce była dla społeczeństwa gwarancją, pozwalającą włączyć tych ludzi ponownie w jego obręb jako jednostki odpowiedzialne za siebie, za swoje dzieci, za swoje życie, za słowa. Celem ich zaangażowania w walkę było uświadomienie społeczeństwu, jakie są możliwości każdego człowieka: nigdy, żaden człowiek nie jest u kresu swych możliwości. Gdyby najbiedniejsi potrafili, mimo omotującej ich zewsząd nędzy, żyć w symbiozie i solidarności, gdyby byli w stanie uznać, że konsumpcja i zysk nie muszą być jedynym motorem życia, motorem społeczeństwa, wówczas każdemu człowiekowi zostałby zaproponowany nowy świat, radykalna zmiana perspektywy. Proponowaliśmy inną formę relacji, inny horyzont naszych zmaganiań.

Na ileż trudności napotykał taki projekt! Brały się one stąd, że bardzo zamożne społeczeństwo nie chciało, albo już nie potrafiło dostrzegać nędzy, deklarując, że ją unicestwiło. Byliśmy zmuszeni stać się świadkami tego, cośmy słyszeli, widzieli, przeżywali. Nie wystarczyło głosić to świadectwo swym sercem: ono musiało stać się dostępne rozumowi ludzi tamtych czasów. Ta konieczność skłoniła Ruch do stworzenia instytutu badań. Stwierdziliśmy, mając na to dowody, że najbiedniejsi nie tylko nadal istnieją, są wśród nas, ale że są świadkami, bo to wy, ludzie tej epoki, każecie im ponosić skutki wszystkich sprzeniewierzeń, jakich się dopuszczacie wobec własnych przekonań, deklaracji, ideałów. Stworzenie instytutu badań było aktem politycznym w pełnym znaczeniu tego pojęcia. Na podstawie dowodów, poinformował on świat o istniejącej sytuacji i zaproponował podjęcie działań.

Dowiódł również, że społeczeństwo może w imię słusznej sprawy zgromadzić ludzi z najrozmaitszych środowisk po to, by najbardziej dotkniętym dać możliwość wzięcia odpowiedzialności za swoje sprawy. Wykazał, że jest zdecydowanie przeciwny prawu, które przeszkadza rodzinom żyjącym w biedzie brać na siebie odpowiedzialność rodzinną, społeczną, polityczną czy religijną.

Trzeba też podkreślić, że ze względu na postawę bogatego społeczeństwa, które usiłuje być nieczule na nędzę, Ruch już na początku swego istnienia zdecydował, że będzie ruchem międzywyznaniowym, ponadpolitycznym, lecz... nie awyznaniowym, nie apolitycznym. To wielka różnica. Ja sam doświadczyłem szansy, jaka jest udziałem katolików, i w ogóle ludzi wierzących: wykształcenie, jakie odbierają, nakierowuje ich na miłość bliźniego. Mając do czynienia z różnymi instytucjami, które – mimo że pragną walczyć o wyzwolenie najbiedniejszych, okazują się do tej walki niezdolne – pomyślałem, że trzeba, byśmy wszystkim ludziom ofiarowali tę szansę, którą mamy my, wierzący. Nie chodziło o prawo kierujące się sprawiedliwością, zgodnie z którym każdemu człowiekowi, jakakolwiek byłaby jego wiara, jego ideały, jego kultura, byłoby wolno zejść na sam dół drabiny społecznej. Trudno sobie wyobrazić, jakie to jest niedogodne dla tych, którzy nie mają przywileju żyć w obszarach, w których żyjemy my, należący do któregoś Kościoła. Każdy człowiek powinien móc uczynić z najbiedniejszej rodziny bieguna spotkania, czynnik wyzwolenia innych ludzi, rodzinę, która ratuje swych braci. Trudno nam zrozumieć cierpienie przeżywane w zetknięciu z nędzą przez tych, którzy od najmłodszych lat nigdy nie mieli możliwości spojrzeć na bliźnich tak jak Chrystus, który z losem najbardziej potrzebującego złączył się całkowicie i bez zastrzeżeń. Również w tym wypadku nie zawsze zdajemy sobie sprawę, jak wiele zawdzięczamy Kościołowi.

Wszystko się zaczęło, gdy miałem pięć lat

55

Francuska wolontariuszka, ateistka, w obliczu nędzy zawsze kieruje się jedynie sprawiedliwością i swym głębokim humanitaryzmem. Porażka rodzin przygnębia ją i niszczy. Nie może przekroczyć tego stanu, nie może zaakceptować porażki, bo dla niej po przegranej nie ma już nic. Kiedy mówię, że dla tych, którzy nie mieli szansy być wychowani ze wzrokiem skierowanym ku bliźniemu, międzywyznaniowość jest szansą uzyskania głębszego motywu działania, moje słowa nie są w żadnym razie nacechowane zarozumiałością. W każdym człowieku istnieje pewna sfera współczującej wrażliwości, która chce się ujawnić, być uruchomiona: tę wrażliwość należy kształtować od najmłodszych lat. Akt miłosierdzia, potrzeba dzielenia się z bliźnim, stania się bliźnim, głęboko cierpiąc wraz z nim, niosąc w sobie jego cierpienie, przemieniając to cierpienie w nadzieję – to wynik wychowania bądź na-wrócenia.

W Ruchu nawiązujemy żywy kontakt z człowiekiem, bez pośrednictwa służb społecznych, jakiegoś aparatu. Gdy nie jest



Ojciec Józef Wrześniński z pierwszymi stałymi wolontariuszami Ruchu ATD Czwarty Świat, 1969.

się ograniczonym, wtłoczonym w ramy jakiejś organizacji, można całkowicie się oddać realizacji jakiegoś programu społecznego, którego powodzenie zależy od bliźniego, od kogoś, z kim chcemy się tym programem podzielić. Możemy wtedy umieścić najbiedniejszą rodzinę w sercu świata, w samym jego centrum. Uczynić centrum z człowieka szczególnie dotkniętego wykluczeniem, to tyle, co objąć w jednym człowieku całą ludzkość. Nie oznacza to, że przestajemy widzieć rzeczywistość, że przymykamy oczy. Zbliżamy się do tego człowieka do granic miłości: a miłość nie ma granic, nie zamyka się, nie panuje nad sobą, jest zawsze szaleństwem.

Trzeba od razu śmiało uznać bezpośredni związek między najbiedniejszym a Chrystusem: oni tworzą jedność. Nie można odrzucać żadnego człowieka, czy to bogatego, czy biednego, odpowiedzialnego za swoją sytuację nędzarza, czy tego, którego taka sytuacja spotkała. W miłości nie ma granic. Wszyscy są częścią tej samej ludzkości, wszystkich czeka to samo przeznaczenie.

Kiedy dotarłem do obozu w Noisy-le-Grand, powiedziałem sobie: te rodziny żyjące w nędzy same nigdy się z niej nie wydostaną, ale ja spowoduję, że wejdą na schody Pałacu Elizejskiego, Watykanu, Organizacji Narodów Zjednoczonych, wielkich organizacji międzynarodowych. Trzeba, żeby stały się w pełni ich partnerami. Bezsensowne zamierzenie, pomysły niektórzy, powzięte na tym pustkowiu, w środku lata 1956! Chrystus patrzący z Golgoty na świat potwierdzał swoje nad nim zwycięstwo. Każdy, kto umieści najbiedniejszego człowieka w centrum swego pola widzenia, nie może nie widzieć wszystkiego, nie może nie obejmować wszystkich ludzi, nie może żadnego człowieka pozostawić na uboczu. Może natomiast twierdzić, że w jakimś sensie zwyciężył świat.